Sekcya prasowa na zjeździe w Poznaniu.

Czytając następujące zdanie: „G d y t e n ż e (ustrój chorego)... b ę d z i e p o d d a n y c z y n n e m u w y s t ą p i e n i u m e t o d y u s u w a n i a c h o r o b y“, wierzyć się nie chce, że jest to ustęp z samodzielnej pracy polskiej, a nie z jakiejś źle tłómaczonej rozprawy niemieckiej i że znajduje on się w czasopiśmie lekarskiem polskiem, wychodzącem nie na kresach zachodnich. Czasopismo to dba o czystość języka więcej może, niż inne, a jednak przytoczony ustęp nie jest niestety wyjątkiem, i nie tylko ta praca, z której go, nie szukając i nie przebierając, wypisałem, roi się od szkaradnych germanizmów, od okresów zawikłanych, zadających gwałt duchowi języka, od wyrażeń, pożyczanych niepotrzebnie od sąsiadów ze wschodu i zachodu, od błędów i skaz, których u nas coraz więcej, zamiast coraz mniej.

Przerzucając wszystkie nasze zawodowe czasopisma (oprócz „Pamiętnika Towarzystwa lekarskiego warszawskiego“, którego tu nie mam i naprędce znikąd dostać nie mogłem), nie napotkałem ani jednego, w któremby można nacieszyć się czystą, nieskażoną polszczyzną. Grzeszymy wszyscy i grzeszymy podobno ciężko: i ci, co czytają, a milczą, gdy im wykoszlawiona i zeszpecona mowa razi uszy, i ci co piszą, a nie chcą czy nie umieją korzystać z nieprzebranych bogactw ojczystego języka, i ci, co tak pisać pozwalają, choć na nich ciąży obowiązek pilnować, aby nam naszych skarbów cudzymi odpadkami nie kalano.

Nie trzeba być znawcą, uczonym, jak się u nas mówi, lingwistą, aby odczuć, że się język kaleczy. Nie brak też nam podobno jakich takich wiadomości, jak się pisać i mówić powinno; tylko wśród czytelników ospałość i obojętność, wśród piszących pośpiech i niedbalstwo, a nakoniec pewność,

że nikt się naprawdę silnie i żywo o krzywdę, mowie naszej zadaną, nie upomni; oto, zdaje mi się, przyczyny, że brniemy coraz głębiej. Złe w zarodku i ze skutkiem zwalczać byłoby może nie trudno; że go się zaś nie zwalcza, lub nie tak stanowczo, jakby należało, to wina pewnej, może wygórowanej, delikatności naszych Redakcyi względem piszących.

Rzecz pewna, że piszący ma prawo domagać się, aby myśl jego wydrukowano tak, jak ją napisał, aby jej nieopatrznemi poprawkami nie skażono lub nie zmieniono, aby z niej nic istotnego nie ujęto i nic zbytecznego nie dodano. Czasopisma zagraniczne pozwalają często piszącym korzystać z tego prawa aż do ostatecznych granic i niejednokrotnie puszczają płazem zdania tak źle napisane, że ich zrozumieć niepodobna, lub ustępy, nie wytrzymujące najlżejszej krytyki. Pod tym względem każdy piszący, a zwłaszcza cudzoziemiec, ma prawie zawsze nieograniczoną swobodę, bo z wyjątkiem może bardzo poważnych miesięczników, cała prasa zagraniczna nie wtrąca się ani do treści, ani do języka nadsyłanych prac. Niewiem czy to słuszne, w każdym jednak razie bardzo wygodne; nie robiąc żadnych poprawek, nie bierze się też na siebie żadnej odpowiedzialności ani wobec autora, ani wobec czytelników.

Nasze czasopisma lekarskie są może sumienniejsze, może odważniejsze, dość, że znać w nich staranie o dobór prac i o usunięcie najgrubszych błędów językowych. Zdawałoby mi się jednak, że nie naruszając praw autora, powtarzając jak najwierniej treść jego pracy, nie psując i nie przekręcając istotnych myśli, możnaby znacznie więcej oczyścić język ukazujących się po polsku rozpraw, niż to dotąd czyniono. Wolno każdemu spostrzegać i opisywać najnieprawdopodobniejsze zjawiska, wolno w rozumowaniach iść każdemu własną drogą i kończyć prace wnioskami, na jakie kogo stać; na tę niezaprzeczoną wolność autorską nie targnięto się u nas nigdy, i nigdy nikt się zapewne na nią nie targnie, dopóki istnieć będzie pojęcie własności osobistej; lecz na odwrót, pisząc, powinniśmy i o tem pamiętać, że „swoboda“ autorska kończy się tam, gdzie zaczyna się nasza wspólna własność, wspólne dobro, nasz język, którego nikt lekkomyślnie lub nieumiejętnie naruszać i kaleczyć nie ma prawa.

Na tem polu czasopisma nasze powinny mieć, mojem zdaniem, władzę nieograniczoną, a z czyśćca redakcyjnego

powinny wychodzić wszystkie prace w szacie nieskażonej polszczyzny.

Możnaby wreszcie przebaczyć, jeżeli ktoś spolszczy jakieś słowo lekarskie cudzoziemskie, na które nie znalazł sam lub u innych odpowiedniego polskiego wyrażenia, lub co do którego nie ukończył się jeszcze spór w słownictwie lekarskiem polskiem. Możnaby patrzeć przez palce na „*gumaty*“, „*syfilis*“, „*gonokoka*“, choć mimowolnie radzibyśmy się dowiedzieć, czy ma być „*ten*“, „*ta*“, lub „*to*“ „*syfilis*“ i dlaczego np. mamy mówić i pisać „*streptokokowy*“ a nie chociażby „*paciorkowcowy*“. Ale na jakiej podstawie, pytam, toleruje się do dziś dnia u nas w pisanem słowie „*sarkomaty*“, „*bronchity*“ (nawet „*bronszyty*“!?) „*dyfteryty*“ i tym podobne dziwolągi, skoro od lat tylu mamy dobre i poprawne wyrażenia polskie, ustalone ostatecznie „Słownikiem“ z r. 1881? Co zmusza nas do pisania lub pobłażania słowom, zapożyczonym, niewiadomo „*cui bono*“, z naszej prasy politycznej, która ma dziwne upodobanie stroić się w cudze pióra, jakby „*hypoteza*“ nie istniała u nas oddawna w skromnej postaci „*przypuszczenia*“, jakby „*ekspert*“ był czemś lepszem od „*znawcy*“ lub „*biegłego*“, a „*konstruowanie*“ trudniejsze od „*budowania*“, „*izolacya*“ dokładniejsza, niż „*odosobnienie*“, a „*racyonalna metoda*“ istotnie skuteczniejsza od „*najodpowiedniejszego, najwłaściwszego sposobu*“.

Już też, na wzór tych śmiesznych łamańców dziennikarskich, tworzą się nawet podobne wyrażenia zawodowo-lekarskie. Mamy więc „*szpryckę*“ Pravaza; coraz częściej „*notujemy*“ „*rezultaty*“ „*radykalnych*“ „*metod*“; „*kwestya*“ też wielka, czy nie zapóźno wymyśliliśmy „*marmoryzacyę*“. — Wartoby też rozesłać „*kwestyonaryusz*“, czy lepiej pisać: „praktyka *akuszeryjna*“, czy „*akuszerska*“, skoro nam „położnictwo“ już nie wystarcza.

W ostateczności możnaby jeszcze wybaczyć, jeśli jedno lub drugie z tych wyrażeń wymknie się mimowolnie piszącemu z pod pióra; nie dziw też, że zalany potopem cudzoziemszczyzny niejeden redaktor wśród uciążliwej swej pracy to lub owo może przeoczyć. Dla języka zresztą naszego z tego rodzaju błędów urasta najmniejsza stosunkowo szkoda; zbyt on potężny, aby zachwiał się pod gradem tych drobnych naleciałości, aby nie zdołał niezbędnych naprawdę sobie przyswoić, a niepotrzebnych odrzucić. Przeszedł on już niejedną i nieraz cięższą próbę zmakaronizowania; można więc ufać, że i język naszego lekarskiego bractwa wybrnie

w końcu z tej kałuży i że z pomocą takich ludzi, jak nieodżałowanej pamięci Stanisław Krysiński, znajdzie sobie własną, a swojską na wskróś szatę, ku czemu nowe wydanie „Słownika" dzielnie i prędko zapewne dopomoże.

Ale z drugiej strony nie można się łudzić, aby ta naprawa naszego słownictwa stała się sama przez się, bez przyczynienia się i to znacznego, a świadomego celu, naszych czasopism. Jeżeli wreszcie pod tym względem można czegoś spodziewać się od nowego wydania „Słownika" i od ukazania się „Słownictwa anatomicznego", to na cały szereg innych, głębszych i boleśniejszych błędów językowych, zapuszczających u nas coraz szerzej i silniej korzenie, żaden Słownik nie poradzi i tylko dobra wola i stanowcze, a jednolite postępowanie naszej prasy może złemu położyć tamę.

Coraz częściej bowiem zapominamy właściwie używać polskich wyrażeń, coraz chętniej zamiast je układać w polskie zdania, budować polskie okresy, wpadamy w naśladownictwo języków obcych; zdarza się w końcu, że niejeden z nas pisze po niemiecku, rosyjsku, francusku polskiemi słowami, że używa swojskich wyrażeń, ale myśli w każdym innym języku, tylko nie po polsku. Oto kilka pierwszych z brzegu przykładów: „zrobić spostrzeżenie" (zam. spostrzegać), „postawić rozpoznanie" („Diagnose stellen" zam. rozpoznać), być w stanie" („im Stande sein") (zam. módz); są to zwroty tak rozpowszechnione, że zaczynamy nie odczuwać ich brzydoty. Jeden z piszących używa stale zaimka „my", niewiadomo dlaczego, zupełnie niepotrzebnie: n. p. „te objawy charakteryzują *nam*", drugi pisze „myśl *do* leczenia podał,...", trzeci „*wnioskuje*" zamiast wnosić; bardzo wielu używa zawsze słowa „tenże", lub, co jeszcze dziwaczniejsze „takowy" zamiast „ten", n. p. „dla wyświetlenia przyczyny zapalenia stawów u chorych na rzerzączkę badano zawartość *tychże* (kogo? stawów, czy chorych?) pod względem bakteryologicznym"; albo: „o wykluczeniu jelita mówimy, jeżeli część przewodu pokarmowego wydzielimy z jego ciągłości, *takowej* jednak nie wyłuszczamy". — Nadzwyczaj często „*podejrzewamy*" chorobę, od czasu do czasu polecamy (jeden z piszących nawet „*rekomenduje!*") ten lub ów środek *wobec* jakiegoś cierpienia. — Nietrudno też spotykać takie np. zdania, jak: „Możemy sprowadzić *rozwój wsteczny* nowotworu" (jak *rozwój*, może być *wsteczny?*), albo „*zapoczątkowali* (!) badania *bardziej złośliwych*" (dlaczego nie złośliwszych"), albo „wystąpił *stan* charakterystycznej oso-

wiałości“ *„objawy* mocnej duszności“, jakby nie wystarczyło powiedzieć: „pojawiła się osowiałość, duszność“.

A cóż dopiero powiedzieć o takich zdaniach, jak przytoczone na wstępie, lub naprzykład następujące:

„Tam, gdzie z powodu zasadzek nieopatrzne pragnienie dźwignienia może spowodować mimowolne zepchnięcie w przepaść....“, — *„operator musi nie zapominać o tem ...“*, — otrzymywali *możliwie jednakowe* pokarmy“, — *„rozchodzić się musi* w tych przypadkach *o rozstrzygnięcie pytania*“, — *„przekonano się, że mamy do czynienia z zapaleniem bez wyjaśnienia jednak przyrody zapalenia“*. — *itd. itd.* [1])

Nie zamierzając roztrząsać szczegółowo wszystkich błędów, jakie popełniamy, do czego zresztą nie czuję się na siłach i niemam prawa, grzesząc taksamo, jak drudzy, nie przytaczam więcej przykładów [2]). To, co przytoczyłem, wystarcza zresztą aż nadto, aby dowieść, że popełniamy bardzo wiele błędów, rażących najmniej wybredne ucho i że szukać ich nie trzeba, bo same proszą się co krok o wytknięcie.

Jedno lub dwa czasopisma, walczące samopas z zalewem cudzoziemszczyzny, nie podołają zadaniu, a bardzo łatwo mogą narazić się na wiele przykrości. Trzebaż liczyć się ze słabostkami ludzkiemi; jedni z piszących zgodzą się wprawdzie chętnie z góry na wszelkie poprawki językowe, ale drudzy, a takich więcej, oburzą się na niewielkie nawet ulepszenia. Przypominam sobie jednego autora, oburzonego bardzo na to, że mu słowo „nadnaturalny“ poprawiono na „nadprzyrodzony“. Jeżeli takie drobnostki wywołują burzę w szklance wody i wymagają nieraz całego sze-

---

[1]) Żeby nie zabierać miejsca, nie przytaczam innych przykładów, choć niektóre są jeszcze ciekawsze, np. okres 3-wierszowy, w którym użyto 4 razy »tychże« i w którym wszystkie zdania, kończą się czasownikami. Nie wymieniam też źródeł, z których czerpałem przytoczenia, aby nie wywoływać niepotrzebnych sporów. Wszystkie przytoczenia są przepisane dosłownie; nie przytaczałem nic z pamięci. Wyszukanie tych nowoczesnych zdobyczy językowych nie było trudne; nie są one wyjątkami. Wystarczyło przejrzeć po j e d n y m poszycie wszystkich naszych czasopism; z wypisanych błędów przytoczyłem tylko s i ó d m ą część.

[2]) Przed laty kilkunastu ogłosił w tej sprawie, w „Przeglądzie polskim“, wyczerpującą i umiejętną pracę nieodżałowanej pamięci prof. Oettinger. Praca ta, skreślona wytrawnem i świetnem piórem, sama może służyć za wzór nieskażonej, potoczystej a barwnej polszczyzny. Wartoby ponowić wydanie tej rozprawy, oddawna zapewne wyczerpanej, a zasługującej na to, aby każdy, komu język nasz nie jest obojętny, uważnie ją przeczytał.

regu listów i układów, to cóżby się działo, gdyby czerwone ołówki redaktorskie poczęły pracować kilkakroć dosadniej? Czasopisma, dbające o swój język, osławiłyby się z pewnością u owych drażliwych autorów, którzyby poczęli unikać ich, jak ognia, mając pewność, że gdzieindziej nikt nie poważy się naruszyć ich dziwacznej polszczyzny. Chcąc zmusić niedbałych lub zarozumiałych do skruchy i poprawy, koniecznie potrzeba porozumieć się wzajemnie, aby nikt nie mógł oglądać się na grzeszną pobłażliwość u jednych, spotkawszy się z surowością drugich. Trzeba przytem powiedzieć sobie, do jakich granic można pobłażać i w którym kierunku naprzód należy działać; drugim zaś trzeba ogłosić wynik wspólnych narad i postanowień, aby nikt potem nie miał prawa posądzać tej lub owej redakcyi, że rządzi się swojem widzimisię, i aby uniknąć nużących i niepotrzebnych sprostowań i niesłusznych upominań się o rzekomą krzywdę.

Otóż zdaje mi się, że Zjazd poznański jest doskonałą sposobnością do omówienia tej rzeczy, wołającej wielkim głosem o naprawę; roztrząsnąwszy wszystkie *za* i *przeciw*, można będzie związać się przyrzeczeniem jednolitego i zgodnego postępowania i określić, w jakich granicach o poprawę języka starać się można.

Obok tego, pilnego, jak mi się zdaje, zadania, należałoby pomyśleć o urządzeniu jednolitem, zapobiegającem innego rodzaju dowolności pisarskiej. Wspomniałem już, że zagraniczne czasopisma zamieszczają prawie wszystko, co im nadesłać raczą, niewiele dbając o istotną wartość pracy. Jesteśmy zbyt ubodzy, aby pozwalać sobie na taki zbytek i, o ile mi wiadomo, większość naszych czasopism przebiera ziarno od plewy, rzucając śmieci literackie, których i u nas nie brak, do kosza. Pod tym względem jednak brak stanowczo jednolitości w postępowaniu; i zdarzało się już, że pobłażliwsze czasopisma umieszczały rozprawy, nie dość dobrze opracowane, a odrzucone w innych redakcyach. Szkoda, wynikająca stąd dla ogólnej wartości naszego dorobku naukowego, jest wprawdzie mniejsza, niż dla opinii danego czasopisma, które tylko samo sobie tem najwięcej szkodzi. Jednakże i tej szkodzie możnaby zapobiedz, a zarazem położyć tamę innemu, gorszemu złemu, jakie z takiego postępowania aż nazbyt często wynika. Zazwyczaj bowiem rozprawy, opracowane niedostatecznie lub niedbale, albo, co gorsza, jak się to już zdarzało, niesumiennie, wywołują szereg zarzutów. Nie było przykładu, aby autor potępionej roz-

prawy lub dzieła nie upominał się o swoją niby... krzywdę; sypie się więc jak z rękawa, szereg sprostowań i odpowiedzi, chociaż na całym świecie przyjęto, że kto ogłasza jakąś pracę drukiem, oddaje ją tem samem pod sąd ogółu i wówczas tylko ma prawo odpowiadać na zarzuty, jeśli one są niedostatecznie poparte, lub jeśli uczyniono je ze złą wiarą. O ile taka walka na pióra dotyczy zagadnień ściśle naukowych i prowadzi się „sine ira et studio“, o tyle jest ona nawet do pewnego stopnia pożądaną i może niejedną rzecz sporną wyświetlić, niejedną cenną uwagę nasunąć. Niestety jednak spory w sprawach naukowych i o poważne zagadnienia naukowe są u nas dość rzadkie; w trzech czwartych podnosi się w odpowiedziach na zarzuty rzeczy błahe, bez donioślejszego znaczenia, co gorsza, napada się najczęściej na osobę przeciwnika, wprowadzając aż nazbyt często w grę zawiści osobiste i urazy osobiste. Czytelnik nudzi się rzeczami które go nie obchodzą, i zajmują miejsce ze szkodą przedmiotów ważniejszych, a czasopismo traci niepomiernie, dopóki nie zdecyduje się pomieścić utartego przypisku: „Dalszą polemikę Redakcya zamyka“. Ten jednak, któremu w ten sposób usta zamknięto, nie daje jeszcze nieraz za wygranę; zwraca się do drugiego, trzeciego czasopisma i t. d., a nie było prawie przykładu, żeby ci najzawziętsi obrońcy swoich dzieł stworzyli naprawdę coś cennego i dobrego; przeciwnie, jak tego dowodzą niektóre zajścia, których wymieniać nie potrzebuję, bo tkwią wszystkim w pamięci, szermierkę na pióra ciągną w nieskończoność zwykle ci, którzy naprawdę niesumiennie pracują, a zarzuty próbują odpierać niską bronią zaczepek osobistych i przewrotnymi wykrętami, dopóki ogólna odraza nie wypędzi ich z czasopism do broszurek, wydawanych własnym nakładem.

Zgodne postanowienie wszystkich naszych czasopism, że odpowiedzi na zarzuty, zawierających choćby cień walki osobistej, umieszczać nie będą, że wymagają, aby tego rodzaju rzeczy trzymały się jak najściślej przedmiotu i nie wykraczały poza granicę tkzw. sprostowań faktycznych oraz roztrząsań ściśle naukowych, że wreszcie, w razie zaczepki, zaczepiony ma ostatnie słowo, — mogłoby uwolnić łamy naszej prasy od ciężaru bezpłodnych sporów, które w ostatnich zwłaszcza czasach ze szkodą cenniejszych stron naszego piśmiennictwa i z krzywdą niczem na to nie zasługujących czytelników aż nadto się u nas rozwielmożniły. Czasopisma nasze zbyt ciężko pracują na swój byt i wymagają zbyt

wiele nieraz ofiar pieniężnych, aby nie miały prawa pozbyć się tej kuli u nogi, i raz na zawsze odgrodzić się od błędnych rycerzy, zdobywających sobie ostrogi zapomocą napaści na cześć i dobre imię przeciwnika.

Ustanowienie pewnych stałych i niezmiennych prawideł postępowania, byłoby w tym przypadku nietylko słuszną obroną własnych interesów naszej prasy, ale może także przysługą dla ogółu czytających lekarzy polskich.

Zdaje mi się, że oprócz tego mogłyby czasopisma nasze podać sobie rękę w sprawie własnej, będącej również poniekąd sprawą ogółu. Nie ulega wątpliwości, że żadne z czasopism naszych nie ma tylu odbiorców, iluby mieć powinno. Jeżelibyśmy zdobyli się na szczerość i wyznali wszyscy otwarcie, ilu mamy przedpłacicieli, to okazałoby się niewątpliwie, że dziwnie ich jest mało. Obliczając pobieżnie i do tego bardzo wysoko, na podstawie poczęści bezpośrednich wiadomości, udzielonych mi przez zarządy naszych tygodników, doliczyłem się ogółem 3000 egzemplarzy, nie rachując oczywiście kwartalników. Liczbę zaś lekarzy Polaków w naszych dawnych ziemiach szacuję mniej więcej na 6 do 7 tysięcy. Jeżeli się zważy, że bardzo wielu czyta dwa lub trzy pisma polskie, i że sporo lekarzy Polaków rozprószonych jest po całym świecie, to okaże się, że zaledwo jakaś trzecia lub czwarta część popiera swojską prasę. Odliczywszy od ogólnej liczby jeszcze i tych, którzy w ogóle nic nie czytają, bo są i tacy, zawsze jeszcze powinnibyśmy mieć kilkuset czytelników więcej, niż dzisiaj. Należy przypuszczać, że ci których poprostu nie stać na zbytek dwóch lub więcej czasopism i którzy ograniczając się z konieczności do jednego wybierają takie, jakie im za najtańszą cenę najwięcej przynosi treści. Nie ubliżam prasie naszej, ale proszę mi wskazać, który z naszych tygodników może zastąpić w zupełności pismo zagraniczne, choćby np. taką „Deutsche medicinische Wochenschrift“? Nawet jak najkorzystniej sądząc o naszych czasopismach, musimy się na to zgodzić, że żaden. Różne są tego powody; najwięcej może znaczy tu szczupła liczba czytelników, idący za tem brak środków, aby rozszerzyć ramy pisma; nie wspominam już o wynagrodzeniach autorów bo chyba nikt z nas dla nich nie pisze.

Nie wdając się szczegółowiej dla braku miejsca w tę sprawę, warto jednakże wspomnieć o niej. Zdaje się bowiem, że i pod tym względem możnaby wspólnemi siłami coś zdziałać. Oczywiście nie ma mowy o wyrzeczeniu się

tygodników zagranicznych i zamknięciu sobie „okna na Europę“. Jednakże tym lekarzom, którzy mogą a raczej muszą, czytać tylko jedno pismo, włożyć w rękę pismo polskie, byłoby chyba i dla nas i dla nich korzystnie. Zrobić tego nie można inaczej, jak tylko dorównując bogactwem treści, zwłaszcza w dziale sprawozdań z medycyny praktycznej, dziennikom zagranicznym. Przekroczyłbym ramy tej notatki, chcąc zastanawiać się nad wiodącymi do tego drogami; byłoby właśnie rzeczą sekcyi prasowej Zjazdu sprawę tę dokładniej roztrząsnąć, oczywiście na podstawie jakiegoś dobrze opracowanego sprawozdania, i wyświetlić, co i jak robić należy. Warto tylko wspomnieć, że samą siłą rzeczy każdy z naszych tygodników nabył pewnych cech właściwych, pewnego dość wybitnego kierunku. Jeden zajmuje się w pracach oryginalnych głównie kierunkiem naukowym, inny sprawami lekarza praktycznego żywo obchodzącemi; jeden lub drugi służy głównie swojskiej twórczości, inne starają się zapoznać czytelnika z ruchem pisarskim zagranicznym, poświęcając dużo miejsca streszczeniom a pomieszczając mimochodem tylko większe prace polskie; w każdym wszystkiego potrochu, niektóre mniej, inne więcej starają się być wszechstronnymi. Czyby nie można wyzyskać tych słabo jeszcze zarysowanych dążności, i nadać naszym tygodnikom wyłączniejszy, znamienniejszy charakter? Czy też przeciwnie należy uważać kierunki odrębne za rzecz niedobrą, rozpowszechnieniu się naszych czasopism szkodliwą: Oto pytania, nad któremi możnaby się zastanowić, a nad któremi zastanowić się może i warto.

Odrębnym przedmiotem rozpraw mogłyby być i, mojem zdaniem, powinny, sprawy naszych kwartalników i miesięczników. O ile w poprzednio poruszonej sprawie naszych tygodników, mogłyby się zdarzyć jakieś trudności, wynikające ze współzawodnictwa, o tyle w tej drugiej sprawie nie można obawiać się żadnych chyba nieporozumień, zawiści i waśni, a należy raz stworzyć porządne i stałe dla najpoważniejszych pism naszych poparcie. Mamy obecnie dwa wydawnictwa, służące z wielkiem poświęceniem i ofiarnością sprawie ogółu, a jak dotychczas spotykające się, jeżeli nie z obojętnością, to przynajmniej z chłodem. Wesprzeć je szczerze i gorąco, rozszerzać je nietylko zapomocą pobieżnych i dorywczych wzmianek, ale zapomocą nieustającego gorliwego nawoływania, czas najwyższy, bo czas w końcu abyśmy nie potrzebowali się wstydzić samych siebie, że nie

potrafimy zapewnić samodzielnego bytu takim wydawnictwom, które gdzieindziej liczą setki tysięcy czytelników. Nie potrzebuję dodawać, że przytem należałoby pomyśleć i o naszych miesięcznikach, zacząwszy od tego, który z wysiłkiem strzeże placówki na kresach zachodnich, a liczy (przykro powiedzieć) ledwo dwustu kilkudziesięciu czytelników, a nie zapominając i o tych, które starają się rozszerzyć zamiłowanie do spraw publicznego zdrowia, niezmiernie przez większość lekarzy zaniedbywanych, lub które pragną pobudzić ogół do żywego zajęcia się swojskiem piśmiennictwem i krytyczniejszych, niż dotąd, poglądów.

Nie koniec na tem. Zdaje mi się, że rzeczą sekcyi prasowej byłoby starać się zapanować trochę nad ruchem wydawniczym u nas. Nie mówię o dziełach, bo tych zawsze jeszcze wychodzi, a co ważniejsza, sprzedaje się u nas, zamało; bez zapomogi kasy Mianowskiego, lub Stowarzyszenia do wydawnictwa dzieł lekarskich, podobno mało kto może u nas odważyć się na napisanie podręcznika lub dużej monografii. Ale od czasu do czasu pojawiają się zapowiedzi nowych pism lekarskich. Może niektóre z nich istotnie się narodzą, a wówczas, czy nie byłoby dobrze pomyśleć wspólnie, czego nam najpilniej potrzeba, a w danym razie, jak zapobiedz rozpraszaniu się niezbyt licznych sił roboczych, które w ogóle u nas chyba skupiać, a nie rozstrzelać by należało? — Nowe ognisko wiedzy; nowy warsztat pracy będzie musiał prędzej, później szukać zbytu dla swojej twórczości. Niepodobna pomyśleć, aby Wydział lekarski we Lwowie mógł na zawsze obejść się bez czasopisma, wyłącznie mu oddanego na usługi, i mimo wszelkich „ale“, nie dziś to jutro czasopismo takie powstać, lub jedno z istniejących na takie zmienić się musi samą siłą rzeczy. Należy to sobie otwarcie powiedzieć i zawczasu pomyśleć, abyśmy nie wyrzucali nadaremno czasu, pracy i środków na rzecz, żyjącą z wysiłkiem, a dla tego, co już mamy, może niekorzystną. Nie możemy dyktować oczywiście nikomu, co i jak ma robić; zdaje mi się jednak, że skierowanie tej sprawy na taką drogę, którąby ogółowi korzyść przynosiła, a w końcu kiedyś powstać mającemu czasopismu zapewniła byt i powodzenie, mogłoby być treścią otwarcie a po koleżeńsku przeprowadzonych narad.

Znalazłoby się jeszcze spraw wiele, mogących być przedmiotem narad sekcyi prasowej Zjazdu. Nie mogąc tu wyliczać wszystkich, wspomnę tylko o ważniejszych. I tak n. p.

rzadko kiedy można znaleźć w naszych tygodnikach wyczerpujące sprawozdania z ważniejszych zjazdów szczegółowych gałęzi medycyny, n. p. chirurgicznych, położniczo-ginekologicznych i t. p. Jeżeli zaś sprawozdania takie się pojawiają, to przeważnie pochodzą z drugiej ręki i opracowane są na miejscu, w Krakowie lub Warszawie, na podstawie streszczeń drukowanych w pismach zagranicznych; w najlepszym razie zdarza się jakiś dorywczy sprawozdawca, nie zawsze dostatecznie w danej gałęzi ze wszystkiem obeznany. Gorzej bywa ze zjazdami, na których toczą się rozprawy z kilku działów nauk lekarskich; wówczas bowiem wyjątkowo tylko znajdują się zawodowi sprawozdawcy dla każdego działu, a oczywiście sprawozdanie, kreślone piórem jednego tylko sprawozdawcy, który przypadkowo na zjazd pospieszył, nie mogą we wszystkich poruszonych zagadnieniach być ani dość wyczerpujące, ani równie dobre. Najlepiej opracowaną bywa gałąź, którą się sam sprawozdawca zajmuje; inne traktuje się mniej lub więcej po macoszemu. Jeżeli zaś wyjątkowo na zjeździe spotka się kilku lekarzy Polaków, pracujących w rozmaitych gałęziach, a nie leniwych do pióra, to można być prawie pewnym, że każdy z nich pisać będzie do innego, z naszych tygodników o wszystkiem, co na zjeździe omawiano. Chcąc wówczas z naszych czasopism wyrobić sobie zdanie o przebiegu narad, trzebaby wszystkie czasopisma przejrzeć i dopiero porównując jedno sprawozdanie z drugiem i trzeciem, poprawiać je i uzupełniać.

Praktyczni Niemcy oddawna urządzili rzecz inaczej; istnieje tam związek zwany „Freie Vereinigung der deutschen medicinischen Fachpresse", który dostarcza równobrzmiących (dodajemy że z niemiecką dokładnością opracowanych) sprawozdań do wszystkich lub prawie wszystkich ważniejszych tygodników. Związek ten, z góry zaprasza sprawozdawców, zawodowo znających tę lub ową gałąź, z grona uczestników zjazdu. Każdy dział opracowany więc jest w sprawozdaniu jak najlepiej, bo streszczenie narad w każdej sekcyi spoczywa w ręku dobrego znawcy przedmiotu, a za pomocą takich zbiorowych sprawozdań, każde pismo zapewnia swoim czytelnikom wiadomości świeże, bez błędów i usterek, zyskując na wartości artykułu, a oszczędzając sobie wysyłania osobnych sprawozdawców, własnym wyłącznie kosztem.

Nie wiem, coby mogło przeszkadzać nam do naśladowania tego wygodnego i dla czasopism i dla sprawozdawców

i dla czytelników urządzenia. Możnaby tym sposobem zapewnić sobie świeże wiadomości z pierwszej ręki, bo chyba nie ma kąta w Europie, gdzieby nie znalazł się jakiś lekarz polski, i to najczęściej znawca przedmiotu, który bez straty czasu i bez wielkich kosztów na zjazd, odbywający się gdzieś niedaleko zawsze podąży. Gdyby zaś takiego lub takich sprawozdawców nie było, toć w danym razie łatwiej wspólnymi środkami zdobyć się na wysłanie jakiegoś jednego sprawozdawcy umyślnie po to, aby nam streścił jakieś ważne i doniosłe narady. Na większe zjazdy, prawie zawsze wybiera się kilku uczestników z kraju; są to wprawdzie zazwyczaj lekarze nie zbyt pochopni do pióra, gdy chodzi o skromne streszczenie cudzych myśli; przypuszczam jednak, że właśnie oni, zwykle bardzo w przedmiocie obrad Zjazdu doświadczeni, zachęciliby się do sprawozdań lub nie cofnęli się przed zaproszeniem do tego rodzaju pracy, gdyby mieli pewność, że tem przysłużą się całej naszej prasie i wszystkim czytającym, a nie jednemu tylko pismu i ograniczonemu kółku czytelników.

Takie posługiwanie się wspólnemi sprawozdaniami mogłoby wpłynąć także na ściślejsze stosunki pomiędzy rozmaitemi naszemi czasopismami. Wydaje mi się niemałym brakiem w naszych stosunkach, że o sobie wzajemnie mało wiemy, a co za tem idzie, że mało się zajmujemy tem, co się robi we wszystkich kątach naszej ziemi. Dopiero niedawno obudziła się chętka zapytać: „a jak tam u was?“ Dowodem tego listy z różnych stron kraju i z poza kraju, gdzie tylko większa gromadka lekarzy naszych się zabłąkała, pojawiające się od czasu do czasu w niektórych z naszych tygodników. Powiedziećby można jednak, że zajęliśmy się sobą nie wszyscy, bo dlaczegoż dobrego tego przykładu nie naśladuje reszta naszych czasopism? Taka wzajemna wymiana myśli, sprawozdanie z bied naszych i rachunek naszego dorobku, nie może być niekorzystną, a oddając ujemne i dodatnie strony nasze pod sąd ogółu, może niejedno złe usunąć lub zmniejszyć, niejedno dobre rozkrzewić i wzmocnić. Trzebaby tylko jeszcze może ramy tych, wzajemnie sobie udzielanych wiadomości, rozszerzyć, wszystkie kierunki naszego życia i wszystkie strony naszego zawodu poruszać, wszystkie zakątki kraju w ruch ten wciągnąć. Niektórym z naszych czasopism możnaby nawet zarzucić pewną oschłość i obojętność na sprawy ogółu, przekraczające zakres zagadnień ściśle naukowych; otóż czy nie należałoby lodów tych

złamać i znowu za pomocą szczerych, koleżeńskich narad podsunąć prasie naszej chęć do tego, aby choć kiedy niekiedy wychyliwszy się poza duszne pracownie i sale szpitalne, poświęciła chwilę uwagi szerokiej fali życia, wśród której tylu z nas walczy i boryka się z losem i gdzie lekarz spotyka, oprócz zajęć zawodowych, niejedno zagadnienie społeczne, do którego rozwiązania, niejedno zadanie obywatelskie, do którego wypełnienia, wiedzą swą i środkami przyczynić się może.

Zaczarowane koło, odgradzając niektóre nasze tygodniki od wszystkiego, co nie jest rozprawą kliniczną lub pracą doświadczalną lekarską i od wszystkiego prawie, co dzieje się w zamiejscowych pracowniach i szpitalach polskich, jest tem ciaśniejsze, że nie istnieje u nas lub prawie nie istnieje wymiana współpracowników. Są nazwiska nawet bardzo znane w jednej dzielnicy, których nigdy nie spotyka się w czasopiśmie, wychodzącem w innym kącie kraju. Każdy prawie nasz tygodnik ma swoją własną gromadkę piszących, z której rzadko kiedy kogoś drugiemu czasopismu odstępuje. — Słyszałem, że gdzieniegdzie chodzi podobno o zapewnienie pismu stałych pracowników, że nowozaciężni zobowiązują się drukować swoje prace tylko w tym tygodniku, pod którego sztandarem się skupiają. Jest to zasada niewątpliwie bardzo słuszna w chwili powstania nowego pisma i w pierwszych latach jego istnienia. Ale czyż nasze tygodniki, istniejące po parę lat, oparte na silnej podstawie, potrzebują j e s z c z e takich zastrzeżeń? Czy ta wierna służba jednemu tylko panu nie jest zbyt wyłączną?

Zdaje mi się, że wyjątki od takich zasad, jeżeli istnieją, powinny być częstsze i powszechniejsze. Niema przecież pomiędzy nami żadnych różnic zasadniczych, nie idziemy w sprzecznych lub rozbieżnych kierunkach naukowych. Jednej sprawie służąc wszędzie równie gorliwie i równie pilnie, moglibyśmy więcej niż dotąd wspierać się wzajemnie. Nie ulega wątpliwości, że treść wszystkich naszych czasopism w dziale prac samodzielnych, podwójnieby na tem zyskała; raz bogacąc się nabytkami w tych działach, które w jednych pismach rażą ubóstwem, gdy w drugich są przeładowane; powtóre urozmaicając jednostajność, właściwą twórczości uczniów jednej szkoły, poglądami wyniesionymi z innych ognisk wiedzy. Znaczniejszemu rozwojowi takiej wymiany zapatrywań, takiemu dopełnianiu się wzajemnemu, które równoważąc skrajność zasad, zapożyczonych od obcych możeby

ułatwiło wylęgnięcie i rozrost swojskiej, oryginalnej myśli, przeszkodzićby mogły chyba względy i względziki osobiste, zawiści i spory stronnicze, walka nie o kierunek lub zasadę, lecz bójka o korzyści materyalne, lub nienawiść pewnych gromadek i koteryi. Być może, że kiedyś tak u nas było; nie chcę jednak wierzyć, że jest jeszcze i że po długiem, żmudnem i bolesnem leczeniu ciągle na starych naszych grzechach się potykamy.

Zadaniu naszemu, które według jednych[1]) na tem polega, abyśmy godnie i silnie na kartach postępu naukowego ludzkości się zapisywali, które według drugich[2]) tylko wytworzeniem rodzimego i samodzielnego kierunku osiągnąć zdołamy, łatwiej będzie sprostać, skoro połączą nas silniejsze i ściślejsze niż dotąd węzły, skoro usiłowania do dziś nieraz rozstrzelone w jedno skupimy ognisko. Nawiązaniem tych węzłów, wzmocnieniem łączących nas nici, może być i będzie już samo utworzenie sekcyi prasowej na Zjeździe, gromadzącej w jeden hufiec wszystkie nasze odrębne gromadki. Omówienie, a poczęści i załatwienie zagadnień, nasuwających się dzisiaj, nie zajmie wiele czasu, jeżeli tylko odpowiednie dane będą dość wcześnie i dość dokładnie przygotowane i jeżeli sekcya nie będzie ciężką maszyną z całą gromadą urzędników, lecz zebraniem redaktorów i po 2 lub 3 delegatów każdego komitetu redakcyjnego. Utworzenie sekcyi zdaje mi się potrzebne; pewnym być można, że jest wykonalne.

Oddaję pomysł mój pod sąd ogółu. Sądzę, że jeżeli zdoła on wywołać jakieś rozprawy, i to nie będzie bez korzyści, nawet gdyby myśl sama ziścić się nie miała.

Paryż, 26 grudnia 1897.

---

[1]) Janowski Nowiny lekarskie 1897 Nr 2.

[2]) Biegański Zagadnienia ogólne z teoryi nauk lekarskich str. IV.

Ciechanowski.

Nakładem Redakcyi „Przeglądu lekarskiego".

Kraków. — W drukarni Uniw. Jagiell., pod zarządem J. Filipowskiego.